Świat powieściowy.

Nr. 142 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Rajmund spojrzał na młodzieńca długo i przenikliwie, jakby chciał odgadnąć, co w nim obudziło tak nagle chęci do pracy.

— To będzie zupełnie zależało od twoich własnych zapatrywań i skłonności. Nie chcę ci pod tym względem zdania mojego narzucać. Masz może ochotę do służby państwowej?

— Właściwie zostałbym najchętniej wiejskim gospodarzem. Nie znam się wprawdzie dotąd zupełnie na agronomji, w twoich jednak dobrach rozległych, a tak wzorowo administrowanych, mogę odbyć z pożytkiem kurs praktyczny, a wieś, przyznaję, ma dla mnie urok niesłychany.

— Samotność w Felseneck cudów istotnie dokazała! — tym razem baron Rajmund nie starał się nawet ukrywać tonu drwiącego. — Nie spodziewałem się nigdy tak świetnych rezultatów, i to w kilka dni zaledwie! Wybierasz zatem zawód agronoma? Nie mam nic przeciwko temu, lękam się tylko, iż wkrótce znudzisz się, znajdując życie na wsi zbyt monotennem.

— O! nie, z pewnością! — Paweł uroczyście zaprotestował, tłumacząc z namaszczeniem, iż pożegnał się raz na zawsze z dzikiemi wybrykami, z szaleństwami nadto bujnej młodości, że wyszumiawszy zupełnie, pragnie zacząć inne życie, że tęskni do cichej ostoi, do własnego dachu i ogniska; rozpływał się formalnie w liryzmie sielankowym, snując dalej plany i postanowienia. Wracając z Werdenfels, nabił sobie tem wszystkiem głowę, aby gładko stryjowi odrecytować, skoro nadarzy się sposobność potemu, a że myślał na serjo tym razem, słowa płynęły mu z ust potokiem, argumentów dobierał dosadnych i nader przekonywających. Nie wywołał niemi jednakże wrażenia oczekiwanego. Rajmund wysłuchał wywodu całego ze zwykłą lodowatą oziembłością, ani razu nie przerwawszy, a gdy skończył, rzekł najspokojniej:

— Zakochałeś się Pawle... wszak zgadłem?

Paweł spłonął szkarłatem na pytanie tak niespodziewane. Chwilowo nie myślał jeszcze zdradzić tajemnicy uczuć swoich, dotknięty atoli do żywego tonem litościwym i lekceważącym, jakim do niego przemawiano, dumnie się wyprostował, odrzucając z naciskiem:

— Nie jestem zakochany... tylko kocham prawdziwie!

— Znajdujesz więc tak wielką różnicę między temi dwoma wyrazami?

— A ty, czyż-byś nie umiał tejże pojąć?

— O! pojmuję doskonale! Wątpię tylko, czyś ty się mógł nauczyć tej różnicy w kółku dobranem twoich przyjaciół we Włoszech!

Młody człowiek zrozumiał aż nadto dobrze, słów tych znaczenie i wyrzut w nich zawarty, odpowiedział atoli śmiało i z całą otwartością:

— Nie znałem wtedy prawdziwej miłości; byłaby mnię z pewnością ustrzegła od wybryków szalonych, do których mnie namawiano. Dopiero w dniach ostatnich mojego pobytu w Wenecji Ją zobaczyłem.

Wstrzymał się zdziwiony, gdyż po raz pierwszy spostrzegł w martwych rysach Rajmunda, pewne ożywienie, a w spojrzeniu pytającem zainteresowanie się szczere tą sprawą. W źrenicach zamglonych, jakby przez pół zaumarłych, przemknęła błyskawica rozjaśniająca ciemny horyzont. Powtórzył niemal rzewnie:

— W Wenecji?... Tam ją poznałeś?

— Byłeś zapewne w tem mieście?

— Czy znam Wenecję?... O! i jak jeszcze!

W słowach odzywało się dziwne rozmarzenie. Oczy w jeden punkt utkwiwszy, zdawał się gonić jakieś obrazy z przeszłości, jakieś błogie wspomnienia. Ta zmiana dodała i Pawłowi odwagi, który inaczej nie byłby śmiał wystąpić przed ponurym odludkiem, z wylewem uczuć swoich gorących. Zawołał więc z namiętnem uniesieniem:

— Mnie Wenecja nigdy nie wyjdzie z pamięci. Tam ujrzałem życia mojego gwiazdę przewodnią!

— Gwiazdy gasną... nikną! — Rajmund wpadł mu nagle w słowo tonem lodowatym. — Nie wierz im Pawle! Zwabią cię blaskiem kłamliwym, pociągną ku sobie jasnym na pozór promieniem, a w końcu porzucą cię samotnego, zwątpiałego, pogrążonego w ciemności!

Paweł drgnął zaniepokojony. Nie tyle go uderzyła nagła zmiana w usposobieniu Rajmunda, ile frazes ostatni: „Gwiazdy gasną... nikną!“ — Te same słowa

słyszał przez inne usta wymówione, i w tym samym tonie gorżkiego sarkazmu, tam, na statku parowym, na morzu. Był to li przypadek, nic więcej, boć rozmowa ich świadków nie miała, a jednak zbieg dziwny ścisnął Pawła serce, przeczuciem nieokreślonem jakiegoś nieszczęścia.

Rajmund inaczej sobie milczenie jego wytłumaczył. Myśląc, iż go dotknął słowami surowemi, po krótkim przestanku, dodał łagodniej:

— Jesteś jeszcze za młody, aby mieć tak smutne wyobrażenie o życiu i miłości, nie chcę zatem rozczarować cię przedwcześnie, ułud pozbawiając. Ułuda, to szczęście jedyne na tym świecie! a bywają losu wybrańcy, którzy do śmierci wierzą i ślepo ufają, którym nigdy ułud nie zabraknie. Kochasz zatem... i zapewne jesteś nawzajem kochany?...

Paweł oczy utkwił w posadzkę.

— O tem dotąd nic nie wiem — szepnął pomięszany —nie wiem nawet, czy mogę w ogóle żywić bodaj cień nadziei... znam ją nadto krótko, nadto przelotnie, abym mógł się odważyć z oświadczeniem. Zresztą... pojmiesz i to Rajmundzie, iż musiałem czekać, jak ty moją przyszłością rozporządzisz. Nie mogąc żonie niczego ofiarować, nie śmiałbym...

Wzrok badawczy Rajmunda, spoczął znowu na młodzieńcu, który nigdy w życiu nie czuł tak gorżko swojej zależności, jak w tej chwili.

— Ztąd więc ten nagły zapał do życia na wsi, ta gorliwość do zajęć gospodarskich! — potrząsł głową ordynat. — Zaraz się czegoś podobnego domyśliłem! Nie zawiedziesz się na mnie Pawle, jeżeli — ma się rozumieć — wybór twój, okaże się rozumnym i godnym barona Werdenfels.

— Ręczę, że mu nie będziesz przeciwnym! — Paweł namiętnie zawołał. — Majątek, stanowisko, wszystko jest odpowiednem; co się zaś tyczy jej osoby...

— Jest naturalnie wybrana serca twojego, niedoścignionym ideałem! — Rajmund drwiąco dokończył. — Ukochana musi być zawsze w oczach naszych doskonałością, póki nam się oczy nie otworzą i zawód nas nie spotka bolesny. Ale nie przewidujmy wypadków tak smutnych... nie chcę ci do szczęścia — w twojem przynajmniej mniemaniu — stanąć zaporą. Słusznie mówisz. W zawisłości upokarzającej, nie możesz starać się o żonę i z tego zatem zwolnić cię muszę. — Z Buchdorf na przyszłą wiosnę wychodzi dzierżawca, możesz tymczasem rozpatrzeć się w tym majątku, poduczyć gospodarstwa i spróbować, czy życie na wsi potrafi ci wystarczyć i zupełnie zadowolnić. Jeżeli wytrwasz w postanowieniu, oddam ci Buchdorf z przyległościami na własność. Intrata sucha jest tam bardzo znaczną, grunta pszenne, winnica, właściciel zatem takiego majątku, może śmiało uderzyć o rękę każdej z naszych panien okolicznych, a wszędzie będzie chętnie przyjętym.

Paweł uszom własnym nie wierzył. Nie znał wprawdzie bliżej ofiarowanego mu majątku, dość jednak o nim słyszał, aby ocenić mniej więcej wartość iście królewskiego podarunku. I takie dobra, oddaje mu kuzyn daleki, obojętnie, w kilku słowach, jakby to było coś całkiem naturalnego, nad czem nie warto się dłużej zastanawiać.

— Chcesz mi oddać Buchdorf w posiadanie? — wykrzyknął wreszcie w radosnem uniesieniu. — O, Rajmundzie, czemże i kiedy zdołam...

— Tylko żadnych podziękowań — przerwał mu Rajmund, ręką machnąwszy. — Wiesz jak tego nie lubię. Jesteś przecie moim jedynym spadkobiercą, odbierasz zatem część tylko twoich przyszłych posiadłości. Dla czegoż miałbyś koniecznie z tem czekać aż do mojej śmierci? Ale... mówmy o czem innem!

Paweł poznał stryja nadto dobrze, aby zrozumieć, iż nie wolno mu więcej ani słówkiem odezwać się w tym przedmiocie. Wydało mu się jednak, iż skoro nie może wypowiedzieć słów dziękczynnych, które z serca tak gorąco, tak szczerze, rwały się przez usta, jest również i od wdzięczności uwolniony, za dar tak wspaniały. Wszak ordynatowi tak obojętnem komu daje! takim dla niego ciężarem wszelki objaw ludzkiego uczucia! Doknęło go i to do żywego, że Rajmund nie spytał nawet o nazwisko ukochanej, wcale się tem nie zainteresowawszy, jest li Włoszką, Niemką, lub jakiej jeszcze innej narodowości? Zapewniwszy się, iż wybór jest rozsądnym, to jest: równy urodzeniem i stanowiskiem socjalnem Werdenfelsom, o więcej nie troszczył się bynajmniej, odsuwając od siebie czem prędzej myśl o tym przedmiocie.

— Byłeś tak łaskaw i kazałeś wezwać mojego Arnolda — nadmienił Paweł po dłuższem milczeniu. — Czeka w przedpokoju.

— Ach! prawda! — Rajmund potarł czoło, jakby sobie dopiero przypomniał tę okoliczność. — Niech wejdzie.

Paweł drzwi otworzył i skinął ręką. Arnold wszedł z miną gęstą, w poczuciu swojej godności i wielkiej misji, którą spełnić zamierzał; jednocześnie ogromnie zaciekawiony, jak też wygląda właściwie głowa domu Werdenfelsów? Z tego tytułu szanował wielce Rajmunda, jakkolwiek dziwactw jego nie pochwalał. Skoro znalazł się w komnacie, starzec skłonił się z uszanowaniem, ale i z lekkim odcieniem serdecznej poufałości.

Wzrok barona ześliznął się po starca postaci, ze zwykłą lodowatą obojętnością. Nawet sposób niezwykły, jakim dał mu się poznać listownie, nie obudził w Rajmundzie najwidoczniej żywszego interesu. Jeżeli raczył dopuścić go przed swoje oblicze, to li przez wzgląd na prośbę Pawła.

— Baron Werdenfels — przemówił tonem zimnym — polecił mi was Arnoldzie, jako sługę długoletniego i wiernego jego rodziców. Cieszy mnie, żeście zostali przy waszym młodym panie, dla którego żywicie te same uczucia.

Słowa wypowiedziane brzmiały bardzo rozumnie, a mężczyzna siedzący w głębi fotelu, wyglądał całkiem

przyzwoicie. Nie było powodu obawiać się jego napadów. Arnold raczył uznać przyjęcie za stosowne, i niem zadowolony, odpowiedział z miną uroczystą:

— Starałem się ile możności wypełnić święty obowiązek, który mi nieboszczka pani baronowa na sumienie włożyła, oddając na łożu śmiertelnem syna pod moją wyłączną opiekę.

Paweł wzruszył ukradkiem ramionami i spojrzał w niebo, jakby wymawiał matce, iż mogła popełnić coś tak niestosownego, o czem musiał słuchać sto razy na dzień! Rajmund atoli, nie wiedząc o ile starzec jest niewyczerpanym, gdy raz wpadnie na temat ulubiony, znajdował całkiem naturalną dumę starego sługi poczciwego, pytając dalej:

— Byliście z waszym młodym panem na uniwersytecie, a później do Włoch mu towarzyszyliście?

— Byłem wszędzie od jego boku nieodstępnym! — potwierdził Arnold, przekonany, iż teraz posypią się jak grad pochwały dla niego, za okazaną gorliwość i przezorność, przyczem nie obejdzie się bez kazania w trzech częściach (jak to on prawić lubił), karcącego ostro panicza wybryki.

Ordynat atoli nie myślał wcale o liście wspominać, aby Paweł nie uczuł się tem dotkniętym, dodał więc tonem protekcjonalnym:

— Pan baron umie cenić wasze przywiązanie, którego tyle w życiu miał dowodów, a i mnie cieszy prawdziwie, tak serdeczny stosunek między panem a starym, wiernym sługą.

Arnold spojrzał na panicza tryumfująco, który zachowywał się ze swojej strony nader biernie, nie ośmieliwszy się wobec stryja do żadnej ze swojej strony uwagi. Wzrok jego mówił wyraźnie: „— Baczność! teraz ci pokażę jak dziwaka zażyć wypada!“ — O ile mu na to plecy przygarbione pozwoliły, staruszek z dumą się wyprostował, a chrząknąwszy raz i drugi, rozpoczął uroczyście:

— Jaśnie panie!...

— I cóż? — spytał Rajmund.

Paweł, którego ta scena bawiła niesłychanie, strzegł się wszelkiej interwencji, widząc, iż mina gęsta i napuszona jego kamerdynera i mentora surowego, w jednej i tej samej osobie, jakoś dziwnie rzadnąć zaczyna. To jedno: „I cóż?“ ordynata, już mu szyki pomięszało.

Arnold zaczynał pojmować, iż zimna, wielkopańska wyniosłość Rajmunda, jest czemś zupełnie innem, niż stosunek poufały, na który rad nie rad panicz jego przyzwalał.

— Jaśnie panie! — zaczął na nowo plącząc się i jąkając coraz bardziej. — Postanowiłem... właściwie chciałbym najpokorniej!...

— No! dalej, dalej! Czegoż chcecie?

Tym razem oczy niespokojnie biegające staruszka, spoczęły błagająco na Pawle, jakby wzywając go na ratunek, gdy jednak starzec zakłopotany przekonał się, iż panicz usta zagryza, aby śmiechem nie parsknąć, zebrał całą odwagę i wystrzelił jednym tchem:

— Chciałem wypowiedzieć moje najgłębsze ubolewanie, iż jaśnie pan żyje tak zdala od świata, i tak nikogo...

Reszta słów w gardle mu uwięzła. Rajmund zerwał się, mierząc śmiałka wzrokiem od stóp aż do głowy. Był to jeden, jedyny rzut oka, w którym nawet gniewu dostrzedz nie można było. Arnold jednak pod jego siłą, zgiął się i zmalał jak perspektywa, którą się nagleześrubuje na zero. Radby był znaleźć się gdzieś daleko, bardzo daleko! choćby w Rzymie, lub w znienawidzonej Wenecji. W tej chwili złowrogiej byłby już wolał twarz wstrętną signora Bernarda, niż źrenicę piorunującą głowy domu Werdenfelsów, w której chciał inny ład zaprowadzić, a ta głowa tymczasem ust nie otworzywszy, li oczu podniesieniem, wskazała mu szranki, dzielące sługę od pana.

— On więc sądzi — wycedził Rajmund najspokojniej, ale tonem tak zimnym i nieprzystępnym, iż Arnold zapadł się w ziemię nieledwie i w najwyższem pomięszaniu kłaniał się i kłaniał, jak mógł najniżej.

— O, nic! nic zupełnie! — wykrztusił z wielką trudnością. — Chciałem tylko powiedzieć... iż mi się wszystko w Felseneck nadzwyczaj podobało i mojemu panu także... i że my obydwaj...

— Dobrze już, dobrze! — ordynat skinął ręką. — Cieszy mnie, jeżeli młodszemu panu baronowi, dom mój wydał się przyjemnym i wygodnym. Co do jego zapatrywań, może podzielić się takowemi z moją służbą!

Nowym ruchem ręki dał znak ordynat, iż posłuchanie skończone. Arnold oddał ukłon najniższy przed biurkiem, drugi na środku komnaty, trzeci u drzwi samych, poczem za próg wyskoczył ze zwinnością akrobaty, odetchnąwszy całą piersią, jakby z łaźni wychodził. Dopiero w przedpokoju ochłonął cokolwiek, oprzytomniał i namyślił się, iż właściwie nic się nie stało, ordynat nawet się nie rozgniewał, tylko nauczył starca w kilka minut należnego uszanowania i posłuszeństwa dla pana, coś, czego przez całe długie życie, inni wpoić mu i nakazać nie potrafili.

Paweł silił się nadaremnie na powagę, w obec pośpiesznej rejterady starego Arnolda. Tak komicznie przytem wyglądał i taką miał minę desperacką, iż wreszcie nie mogąc dłużej wytrzymać, śmiechem wybuchnął. Rajmund nie zdawał się bynajmniej podzielać jego wesołości, rzucił tylko od niechcenia:

— Rozpuściłeś straszliwie sługę twojego!

— Wziąłem go już takiego w spadku po rodzicach — Paweł starał się uniewinnić. — Ich tyranizował formalnie, a cóż mnie dopiero, którego na rękach wynosił! Poufałość jego, jest mi częstokroć nieznośną i nader niewygodną, ale nie umiem dać sobie z nim rady. Przykro mi tylko bardzo, iż ośmielił się nawet w obec ciebie...

Rajmund machnął ręką.

— Oh! o to nie troszcz się bynajmniej... Ja potrafię trzymać moich podwładnych w karbach przyzwoitych i zdobyć sobie należny mi posłuch i uszanowanie. Mu-

sisz i ty nauczyć się sztuki panowania, skoro raz Buchdorf na własność obejmiesz.

Wstał od biurka po tych słowach, idąc zwolna przez pokój. Noc zapadła tymczasem, a komnata zwykle ciemna i ponura, wyglądała teraz jeszcze fantastyczniej, przez pół oświetlona błyskami ognia palącego się na kominku. Baron Rajmund zbliżył się, własną dłonią kilka polan dorzucając do ogniska. Ogień buchnął jasnym płomieniem, podsycony na nowo.

— Posyłałem wpierw do ciebie — zwrócił się ku Pawłowi — aleś nie był w domu. Czyś polował?

— Nie, zrobiłem dalszą wycieczkę — Paweł również przystąpił do komina. — Zwidziłem nasz zamek rodzinny.

— Ah! byłeś w Werdenfels? Jakże ci się tam podobało?

— Nadzwyczajnie! Nie widziałem dotąd piękniejszej siedziby! Szkoda tylko, że tak zamek jak i ogrody stoją opustoszałe.

— Czyś znalazł w utrzymaniu całości niedbałość lub nieporządek? — spytał Rajmund. — Wydałem rozporządzenie, aby wszystko na dawnej stopie zostało, i co miesiąc sprawdzam rachunki, ile kosztuje administracja.

— Źleś mnie zrozumiał. Myślałem tylko o tem, iż nikt w zamku nie mieszka, nikt na te piękności nie patrzy. Wszak nigdy w zamku nie mieszkałeś, zostawszy panem na Werdenfelsie?

— Nie... nigdy!...

— Różnimy się w gustach najzupełniej. Wolałbym tysiąc razy Werdenfels, niż twoje romantyczne wprawdzie, ale niesłychanie ponure Felseneck. Gdybym nawet był tak namiętnie zakochany w skalistej przyrodzie i w górskiej samotności, zjeżdżałbym do Werdenfels przynajmniej na kilka miesięcy co roku.

Rajmund nic nie odpowiedział. Oparty o marmur kominka, wpatrywał się w milczeniu, jak płomienie coraz wyżej stos drzewa ogarniały. Huczało i trzeszczało w kominie, to snop iskier w górę wyleciał, to znowu płomyki czerwonawe wiły się wężykowato, sycząc i pryskając, tu się nowego kawałka uczepiły, tam w dół zepchnęły głownię, już przez ogień zwęgloną, wreszcie całe ognisko podniosło się w górę, jednym szerokim płomieniem, niby olbrzymia smolna pochodnia. Ta gra płomieni w komnacie zupełnie ciemnej, miała w sobie coś tajemniczego, a zarazem grozą niemal przejmowała. Pociąg wiatru w kominie, ogień coraz silniej rozdmuchiwał.

— Widok z terasy zamkowej — Paweł wrócił znowu do dawnego przedmiotu — jest majestatyczny, niezrównany! Nawet i wioski położenie, jest nader malownicze. Co mnie tylko uderzyło, to to, że Werdenfels jest zupełnie inaczej zbudowane niż inne wioski w tej okolicy, gdzie jedna chata siedzi na drugiej, a uliczki wązkie, iż ledwie można się przecisnąć pomiędzy opłotkami. W Werdenfels przeciwnie, jest wszędzie tyle miejsca próżnego, tak się zabudowania ciągną daleko i szeroko. Zarządca wspomniał mi wprawdzie, iż wieśniacy, popaliwszy się przed laty kilkunastu, odbudowywali się na nowo.

— Tak jest! Wieś zgorzała ze szczętem! — szepnął Rajmund, zapatrzony dotąd w ognisko. Zdawał się ścigać chciwym wzrokiem obrazy ulotne, które tworzyły płomienie, zacierając takowe w chwilę później, gdy same, to się podnosiły, to w głąb chowały, gasnąc powoli.

— Przypominam sobie, żem coś o tem słyszał, będąc małym chłopcem. Miało to być wielkie nieszczęście. Biedni ludzie stracili wszystko, budynki, bydło, cały dobytek, nawet ktoś, o ile mi się zdaje, zginął w płomieniach?...

— Kilku ludzi życie postradało — Rajmund rzekł cicho, głosem dziwnie stłumionym.

— Okropność! — Paweł wykrzyknął, nie pojmując, jak można o takiej katastrofie, wyrażać się tonem tak lodowatym! Istotnie w słowach ordynata był spokój zupełny, nie zmienił się na jotę, ręką nie ruszył, a jednak zdało się Pawłowi, iż rysy te nigdy jeszcze nie były tak kamiennemi, wzrok tak martwym, tak nieruchomo w jeden punkt zapatrzonym, odbijając dziwnie od tła purpurowego zgliszczy dogasających.

Wiatr nagle w kominie zaszumiał, a podmuchem jego uniesione płomienie, buchnęły raz jeszcze z całą siłą naprzód parte, jakby żądne były zetknąć się z tym człowiekiem, stojącym nieruchomo, z ręką jedną spartą na gzymsie kominka, a drugą obejmując kurczowo kratę żelazną. Zgasły natychmiast, musiały jednak musnąć po ręce ognistym pocałunkiem, gdyż baron Rajmund drgnął i odskoczył w bok z jękiem głuchym, w połowie urwanym.

— Sparzyłeś się? — rzucił się ku niemu Paweł przestraszony. — Jakże bo można na kracie rękę trzymać?! Mogło być istotnie nieszczęście!

Zamiast odpowiedzi, Rajmund twarzą odwrócony, pociągnął gwałtownie za taśmę od dzwonka, obok kominka wiszącą. Dźwięk przeraźliwy odezwał się w zamku całym.

— Światła! — krzyknął na wchodzącego kamerdynera, tonem, do którego tenże nie musiał być przyzwyczajony z ust swojego chlebodawcy, gdyż z trwogą najwyższą wyniósł się za drzwi. Rajmund szybko ku oknu postąpił, rozerwał je na oścież, wychylając się, jakby dusiło go powietrze w pokoju.

Za chwilę wrócił służący z lampą dwuramienną i jasno zrobiło się w komnacie. Paweł stał zmięszany, zaniepokojony, nie pojmując, jak cierpienie tak lekkie w końcu, bo płomienie zaledwie ręki dotknęły, mogło wywołać w całym systemie nerwowym tak straszliwe rozdrażnienie! Ból musiał być przecie dotkliwszym, niż Paweł przypuszczał, bo gdy Rajmund wreszcie okno zamknął i wrócił na środek pokoju, był bladym śmiertelnie, a rysy drgały kurczowo. Na troskliwe zapytania zaś bratanka, odpowiedział krótko i szorstko:

— Ależ nic nie ma!... już przeminęło! Nie troszcz się tem dłużej, proszę!... Mówmy o czem innem!...

Nie wszczął jednak sam rozmowy, tylko krokiem

nerwowym przemierzał wszerz i wzdłuż komnatę. Paweł czuł instynktowo, iż coś zaszło, czego dotykać się nie powinien, chociaż dotąd nic a nic nie rozumie. Miał czas oswoić się i już mu były istotnie mniej dotkliwemi, niż z początku, długie pauzy w rozmowie ze stryjem, które nie wiedział czem zapełnić. Dziś atoli milczenie ponure Rajmunda dziwnie mu zaciężyło, prędko zatem przerzucił się na inny temat.

— Mam się jeszcze z czemś wyspowiadać przed tobą Rajmundzie. Lękam się, iż nie znając miejscowych stosunków, krok uczyniłem, który może tobie nie będzie się podobał. Oto... odwidziłem proboszcza w Werdenfels.

Ordynat przystanął, wpatrując się w młodego człowieka dziko i z najwyższem podziwieniem.

— Byłeś u Jerzego Wilmuta? Skądże ci strzeliło do głowy coś podobnego?!

— Mój Boże! najprostszym w świece sposobem. Myślałem, iż wypada mi zacząć od księdza miejscowego, do którego parafji i nasz zamek należy. Nie przeczuwałem, iż zachodzą tutaj stosunki tak naprężone, iż wizyta moja uważaną będzie co najmniej za niestosowną.

— Czy cię pod tym względem objaśniono?

— Wcale nie! Odesłano mnie z tem wszystkiem do ciebie.

Rajmund jeszcze groźniej zmarszczył czoło, głos jednak był dźwięczny, i jak zwykle spokojny, gdy znowu przemówił:

— Powinnością moją było wtajemniczyć cię od pierwszej chwili i obeznać ze stosunkami w okolicy. Szkoda żeś mi się nie zwierzył z tym zamiarem. Noga twoja nie powinna więcej postać na probostwie! i wogóle... najlepiej byś zrobił, gdybyś się we wsi nigdy nie pokazywał.

— W Werdenfels? — wypatrzył się na niego Paweł osłupiały. — W wiosce do ciebie należącej?

— Tak jest! Nosisz moje nazwisko, które tam nienawidzą. Gdy zechcesz kiedy zamek widzieć, pojedź inną drogą, prosto przez góry.

Znowu zaczął chodzić po pokoju, z chęcią widoczną przerwania rozmowy, ale Paweł stanąwszy wobec nowej zagadki, tam, gdzie na pewno oczekiwał jasnego określenia całej sytuacji, nie dał tym razem za wygranę i do tego samego przedmiotu wrócił.

— Przebacz, iż śmiem cię pytać dalej, muszę atoli wiedzieć coś więcej, aby się w położeniu zorientować. Ksiądz Wilmut zatem, jest dla ciebie źle usposobionym?

— Jak najgorzej! — Rajmund zimno odrzucił. — Jesteśmy nawzajem wrogami!

— I zapewne nadużył władzy, którą piastuje, aby gminę całą przeciw tobie podburzyć?

— To było niemal zbytecznem! Nie zaniedbał jednak niczego ze swojej strony, aby obudzić w sercach nienawiść od dawna zakorzenioną, i rozdmuchać zarzewie tlejące, póki jasnym płomieniem nie wybuchnęło.

— Ależ przez miłosierdzie Boże! — wykrzyknął Paweł oburzony — skąd ma prawo nędzny, wiejski proboszcz, występować przeciw panu na Werdenfelsie w sposób tak nieprzyjazny?!

Rajmund wzruszył ramionami.

— Cóż u takiego księdza znaczy pan na Werdenfelsie! Powinien ugjąć karku pod jarzmo, jak każdy inny, a skoro tego nie uczyni, daje mu się uczuć bicz, którym trzyma się w karności przyzwoitej całą parafię. Ani się domyślasz, za co się u nas księża uważają i jaką rolę odgrywają rzeczywiście pomiędzy ciemnym, wiejskim motłochem! Wilmunt w szczególności, wywiera wpływ nieograniczony, nie tyko na swoich parafian, ale niemal na całą okolicę! Jakże cię przyjął?

— Bardzo zimno... nie uchybiając jednak w niczem prawidłom grzeczności. Nie zastałem go samego na szczęście. Odwidziły go wraz ze mną krewne z sąsiedztwa.

Rajmund stanął jak wryty.

— Krewne?... z Rosenberg?...

— Tak jest... Dwie damy...

— Wiem! wiem! Anna Wilmut z młodszą siostrą.

— Myślisz zapewne o pani Hertenstein?

— Ah prawda! Zawsze zapominam!... O Jaśnie Wiemożnej prezydentowej Hertenstein!

Słowa brzmiały lodowato, ale czuło się w ich dźwięku stłumionym, zjadliwe szyderstwo. Paweł struchlał. Potwierdzały się jego tajemne przeczucia; i pani Hertenstein nie była z pod klątwy wyjętą, i ją dotykała nienawiść nieubłagana, którą Rajmund żywił najwidoczniej do całej rodziny Wilmutów.

— Nie myślałem, że jesteś tak dokładnie obznajomiony ze stosunkami w okolicy — rzekł pomieszany. — Od lat tylu nikogo nie widujesz...

Usta Rajmunda drgnęły kurczowo i wykrzywiły się gorżkim uśmiechem.

— Zerwałem istotnie z całym światem... tyle atoli doszło jeszcze do mojej wiadomości! Małżeństwo to głośnem było. Dziewczyna ośmnastoletnia, idąca ze starcem zgrzybiałym do ołtarza, rzecz bądź jak bądź niezwykła i... uderzająca. Egzaltowani mieli trochę za złe młodej damie, iż zdecydowała się na partję... tak świetną!

— Wyrządzono jej krzywdę najniesłuszniej! — Paweł zawołał zapałem uniesiony. — Namawiano, zmuszano ją może... któż wie czy nie poświęciła siebie dla dobra biednych rodziców lub młodszego rodzeństwa?! Nie znam bliższych szczegółów, ale gotów bym przysiądz, iż w tej całej sprawie nie było nikczemnego wyrachowania, iż rękę starca przyjęła, powodowana uczuciem wzniosłem, szlachetnem! Dość raz spojrzeć w te oczy promieniste, aby odrzucić precz od siebie wszelkie pomawianie tej istoty anielskiej, o pobudki niecne i nikczemne!

Rajmund, od pierwszych słów, wlepił wzrok badawczy w młodzieńca, z wyrazem dzikim prawie. W zapale oratorskim, broniąc ukochanej, Paweł zapomniał o wszelkiej ostrożności, i zdradził się mimowolnie z uczu-

ciem, które mu piersi rozpierało. Wreszcie stryj zapytał głosem drżącym, stłumionym, i groźbę niemal zawierającym:

— Czyż tak głęboko zajrzałeś w te oczy?...

— Dość głęboko, aby od pierwszego spotkania prawdę z nich wyczytać?

— Cóż to się znaczy? Przed kwadransem prawisz mi szeroko i długo o miłości, pochłaniającej wszystkie twoje myśli, chęci i pragnienia, a teraz znowu wpadasz w zapał dla innej... zupełnie ci obcej kobiety? Zdajesz się być wielce niestałym, w twoich skłonnościach i uczuciach!

Paweł zawahał się w obawie, by stryj urażony wyborem, nie cofnął daru wspaniałego, wraz z udzielonem mu pozwoleniem. Zwyciężyła jednak natura jego otwarta, i na wskróś uczciwa, postanowił zatem nie zapierać się swojej miłości, choćby go to miało majątku pozbawić.

— Mylisz się — rzekł cicho. — Anna Hertenstein nie jest mi obcą.... Poznałem ją w Wenecji, i o niej to właśnie wspominałem ci przed chwilą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pożyczana mama.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

W rzeczy samej, jeżeli kto mógł się spodziewać sukcesów na parkietach salonowych, to siostrzenica Laury. Przypatrzmy się jej podczas kadryla, który tańczy właśnie z księciem Arturem. Kibić wyniosła, kształty i rysy klasyczne, jakby całość wyszła z pod dłuta Fidjasza, oczy duże, czarne, również jak i krucze, ciężkie warkocze; „Jej twarz, (jak mówił nasz Adam nieśmiertelny):

...to bladej róży zawoje
Skropione jutrzenki łezką,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Owiały postać niebieską!...

Postać iście królewska! a jeżeli by jaki Zoil złośliwy śmiał zarzucić, iż w tych oczach o połysku djamentowym mało duszy, a twarz istotnie jakaś zimna bez wyrazu, niby z marmuru wykuta, powiemy takiemu bez ogródki, iż niema nic pod słońcem doskonałego, boć i ono ma plamy, mimo, iż blask w koło sieje olśniewający, że jeżeli chce uczuć w życiu, jaką roskoszą jest miłość, niechże zmysł krytyczny w domu schowany zostawi!

— Piękna osoba, hrabiego kuzynka! — wycedził z flegmą książe Artur, po owym przechodzonym kadrylu.

— Rodem kurki czubate! — odrzucił Wacław wesoło. — W naszej rodzinie dzięki Bogu! nigdy nic brzydkiego nie było! Czy upoważniasz mię książe do powtórzenia, tak matce jak i mojej kuzynce, zdania pochlebnego?

Książątko zwinęło się jak piskorz posolony i mruknąwszy pod nosem ni to, ni owo, podaniem dwóch palców pożegnało Wacława.

Księżniczka Teresa tymczasem święciła tryumf za tryumfem, gdzie tylko raczyła się pokazać, a ciotka poczciwa, szaperonowała jej z całą gorliwością, znosiła wszelkie trudy z rezygnacją pierwszych chrześcijańskich męczenników, i nie posiadała się z radości.

— Prześliczna! — nieraz w duchu powtarzała, dodając w formie komentarza: — Żeby tylko miała w sobie trochę więcej życia i serca... bodaj odrobinkę.

Skoro myśl podobna przez głowę jej przemknęła, karciła się za nią surowo hrabina Laura. Bo czyż to nie jest plagą istną dla rodziny, jeżeli panienka na tem co Teresa stanowisku, uczuje w łonie pewne ciepło, coś, co sercem się nazywa! Hrabina wiedziała najlepiej z własnego doświadczenia, jak to z sercem niewygodnie. U niej, ma się rozumieć, nikt nigdy o to nie spytał, ile atoli ten dodatek niepotrzebny łez wycisnął, ile w życiu przez zbytek uczucia pieniędzy wyrzuciła, ile ofiar poniosła dla niegodnych, w jakiej nieraz znalazła się przykrej kolizji! A jednak... jednak! mimo iż syna miała pod wąsem i przeszła dawno: „po za lat niewieścich południe“ — nie mogła pozbyć z piersi gościa nieproszonego, nie mogła zaprzeć się pewnej słabostki dla ludzi, którym bije to coś pod piątem żebrem, czasem nawet biorąc górę nad zimnym rozumem. Nigdy może nie czuła się tak upokorzoną i tak zawstydzoną, z powodu swojej słabości w sprawach sercowych, jak w obec dziewiętnastoletniej siostrzenicy. Księżniczka patrzyła z góry, niemal z pogardą, na wszelkie serca porywy, nazywając je po prostu stanem chorobliwym i szaleństwem! Stała pod tym względem o całe niebo wyżej od cioci najpoczciwszej, tak bo ją też starannie wychowano!

— Książe coraz więcej Terenią zajęty — szepnęła raz hrabina Laura synowi na ucho, podczas jakiegoś rautu, w jednym z domów najarystokratyczniejszych. — Popatrz tylko, ot tam pod oknem, jak jej asystuje i jak się bawią nawzajem doskonale.

Wacław uśmiechnął się z lekkim odcieniem sarkazmu.

— Zdaje się istotnie, że zblazowane książątko tym razem na dobre zaszłapało!... Co atoli zrobisz mateczko z biednym Stasiem, który również kocha się na zabój w naszej pięknej Juno?

— Staś? — hrabina z trwogą śmiertelną na syna spojrzała. — Zmiłuj się, to być nie może, tego się nie spodziewam!

— Dla czego? Staś ma wieś piękną w Przemyskiem, gospodarz zawołany i najporządniejszy chłopiec z nas wszystkich.

— Proszęż cię, nawet nie hrabia!... zupełnie partja niestosowna!

— Że nie hrabia, to tylko dla tego, że ojciec dumny ze swego szlachectwa, sięgającego czasów piastowskich, tytułu niemieckiego przyjąć nie chciał, ale wiesz przecie mateczko, że go rodzi Lubomirska.

— Moja najlepsza przyjaciółka! — westchnęła hrabina, mięknąc widocznie. — Mój Boże! Kocham Stasia prawie na równi z tobą... cenię go... ale powiedz sam, jakie na mnie w obec siostry ciężą obowiązki!... Liczy na los świetny dla Tereni... a to zaledwie partja przyzwoita... Zresztą... gdyby Terenia była nim bardzo zajętą....

— To byś uważała mateczko za powinność, radzić jej, żeby Stasiowi dała odkosza?

— Tego nie powiedziałam! — wzruszyła niecierpliwie ramionami. — Ty bo Waciu dziecko udajesz! Wiesz przecie, czego nasz świat wymaga i jaka na mnie cięży odpowiedzialność! Dręczysz mnię tylko niepotrzebnie!

— Boże miłosierny! Tego mi tylko brakowało! — myślała w duchu hrabina, stroskana niesłychanie. — Nie darmo miałam tak smutne przeczucia na ten karnawał! Gdyby książe Artur od Tereni dostał kosza, nie mogłabym się w życiu więcej siostrze na oczy pokazać!... A jednak... jeżeli kocha szczerze Stasia?... Chłopiec śliczny, wykształcony, ma gdzie żonę zaprowadzić.... Czyż nie lepiej żyć na wsi skromniej, ale z mężem ukochanym, niż błyszczeć na wielkim świecie, mieszkać w pałacach, z sercem próżnem, pozbawionem skarbu najwyższego... miłości!

Odtąd hrabina Laura, zwróciła baczne oko na obu konkurentów, w zręcznej taktyce usuwając o ile możności Stanisława T., a starając się wszelkiemi siłami przyciągać księcia.

Gdzie tylko się pokazały, obydwaj panowie byli od nich jak cień nieodstępni, przy każdym kotyljonie ofiarowywali Tereni pyszne bukiety, książe nawet *Nimrod* sławny i namiętnie lubiący polowanie, wyrzekł się wyprawy nader interesującej na wilki i niedźwiedzie w góry, aby nie opuścić balu, na którym miał tańczyć kotyljona z Teresą.

Ta olbrzymia ofiara kazała się spodziewać rychłych oświadczyn, czekała też na tę chwilę uroczystą hrabina z wielką niecierpliwością; mówiono głośno i wszędzie, że motylkowaty książe Artur, dał się wreszcie złapać i żeni się na pewno z piękną siostrzenicą hrabiny Laury.

Ciotka jednak nie była zupełnie spokojną, choć słyszała w około szmer roskosznie jej ucho łechcący, choć od poufalszych odbierała już nawet powinszowania, że tak świetnie siostrzenicę zamąż wydaje. Książe dotąd nie oświadczył się stanowczo, a Staś dalej asystował. Czyżby go do tego upoważniła tajemnie Teresa?

— Ładny i miły chłopiec ten Stach poczciwy — rzuciła raz od niechcenia, gdy po dłuższej wizycie drzwi się za nim zamknęły. — Szkoda, że bez tytułu i ma wszystkiego wieś jedną.

Po twarzy bladej i zimnej Teresy, przemknął niby łuna ognia wewnętrznego, lekki rumieniec, nic jednak ciotce nie odpowiedziawszy, ku oknu się zwróciła. Hrabinie serce jak młotem uderzyło.

— Dziś książe musi się oświadczyć! — dumała w kilka godzin później, na ostatnim w tym sezonie pikniku obywatelskim, patrząc z zadowoleniem na siostrzenicę, jaśniejącą tak strojem jak i własną urodą. — Terenia wygląda czarująco! Czas wielki, żeby się raz zdecydował!... A!... witam cię Stachu kochany! — zawołała hrabina, drgnąwszy nerwowo na widok syna chrzestnego, któremu z tego tytułu, jak i z powodu zażyłości serdecznej z jego matką, mówiła zawsze po imieniu. — Jaki tu dzisiaj skwar afrykański! — dodała, aby jakoś pokryć zmięszanie.

— Możebyśmy przeszli na chwilę do buduaru? — Stanisław zaproponował ramię podając. — Tam wśród zieleni kwiatów i roślin egzotycznych, chłód i woń nader przyjemna.

Hrabina Bogu duszę polecając, powstała, bo i jakżeż mogła odmówić! Skoro usiedli w zacisznym kąciku, pod osłoną palm i figusów, Stanisław zapytał prosto z mostu:

— Czy księżniczka Teresa, zaraz po karnawale, opuści dom pani?

— A to śmiałek! — pomyślała hrabina oburzona; głośno zaś dodała wahająco i po dłuższej pauzie:

— Jeszcze nie ma nic pewnego co do wyjazdu Tereni... być może, iż będzie mi towarzyszyła do Krynicy i do Zakopanego, gdzie prawdopodobnie lato przepędzę.

Tu zwrotem dyplomatycznym, zaczęła się rozpływać nad miejsc tych urokiem, pełnym dzikiej poezji. Nie potrafiła jednak wstrzymać Stasia, który z całą otwartością powtórnie zapytał:

— Droga pani raczy mi przebaczyć zbytnią może śmiałość i natrętność... chciałbym atoli wiedzieć na pewno, czy księżniczka już po słowie z księciem Arturem?

Jeżeli kto kiedy był kuszony do kłamstwa, to biedna, udręczona mama *in partibus!* Maleńkie, niewinne: „tak“, a jej siostrzenica będzie uwolnioną od niestosownego konkurenta i może śmiało oddać rękę księciu Arturowi. Hrabina jednak nadto się kłamstwem brzydziła, odpowiedziała zatem wahająco:

— Zaręczoną nie jest dotąd, ale....

— Nie?! Dzięki Bogu!

— Dla czego dzięki Bogu? — powtórzyła hrabina z kwaśną miną. — Ja właśnie pragnę tego najgoręciej! Nie widzę powodu, dla czego byś ty...

— Miał za to Bogu dziękować? — uzupełnił Sta-

nisław. — Byłaś mi pani matką chrzestną i najlepszą przyjaciółką mojej matki rodzonej, którą niestety, za wcześnie straciłem. Czyż nie otrzymam chwilki posłuchania? Że kocham twoją siostrzenicę hrabino, z duszy całej, do szaleństwa, to przecież musiało zwrócić twoją uwagę i jest ci wiadomem. Nie unosząc się zbytnią próżnością, mogę być pewnym wzajemności Tereni. Przebacz hrabino, iż tak poufale wyrażam się o twojej siostrzenicy, lecz miłość szczera nie zna tytułów, umie tylko przedmiot ubóstwiony nazywać pieszczonem, chrzestnem imieniem. Wiem, iż mam rywala wielce niebezpiecznego, ale i to wiem jednocześnie i miałem tego dowody, że Terenia mnię kocha, a nie jego. Dotąd nie odważyłem się ze słowem stanowczem, nie zniosę jednak dłużej dręczącej mnię niepewności, dziś jeszcze, tak czy owak, losy moje muszą się rozstrzygnąć. O jedną tylko łaskę proszę panią: w razie gdyby serce Tereni za mną przemówiło, przez pamięć dla zmarłej przyjaciółki, która cię tak czule kochała, bądź po mojej stronie i nie odradzaj jej, oddać rękę wraz z sercem, człowiekowi, który ją nad życie ukochał!

Hrabina była w rozpaczy! Żadna Hiszpanka nie poruszała nigdy z wyrafinowanej kokieterji tak szybko wachlarzem, jak nieszczęśliwa mama pożyczana, z wielkiego zmięszania i z wielkiej desperacji! Staś do jej serca szturmował, a wywoływał cień matki umarłej. Była zgubioną, zgubioną bez ratunku!

— Ależ Stasiu kochany, powinieneś sam uznać..... — zaczęła, w połowie frazesu urywając, bo przecież nie podobna komuś rzucić w oczy, że jest nieznośnym natrętnikiem, którego by się rada pozbyć jak najprędzej.

— Że nie mogę mierzyć się z księciem Arturem, czy to chciałaś pani powiedzieć? Przyznaję ci słuszność co do blichtru światowego, ale nie co do moralnej wartości. Jam uczył się i pracował, podczas kiedy książe trwonił po stolicach Europy, pomiędzy *Demimondem*, serce, siły i majątek. Jest to libertyn zblazowany, dla którego żona będzie jednem więcej cackiem i pięknym w domu mebelkiem. Dla mnie zaś byłaby ubóstwioną życia towarzyszką, kapłanką ogniska domowego! Lękam się księcia Artura mitry i miljonów, dla tego błagam cię hrabino, niech własne serce Tereni rozstrzyga w sprawie, od której zawisło szczęście lub zawód bolesny człowieka uczciwego i przywiązanego z duszy całej!

Ucałował z czcią niekłamaną rękę hrabiny i oddalił się z buduaru. Laura miała łzy w oczach.

— Jak on do matki, do mojej drogiej Ludki podobny! — szepnęła. — W jakiem mnię atoli stawia fatalnem położeniu! Czy ja już nigdy w życiu spokoju mieć nie będę?

W chwili obecnej, ma się rozumieć, iż o spokoju mowy nie było, gdy serce z rozumem wiodło bój zacięty, a nerwy hrabiny były tą walką śmiertelnie rozstrojone.

— Tereniu! — przemówiła głosem drżącym, wróciwszy z balu do domu, gdy znalazły się same w pokoju sypjalnym hrabiny. — Staś mówił ze mną dziś wieczór...

Księżniczka uśmiechnęła się, jak się ciotce zdawało, z lekkim odcieniem ironji i bąkła od niechcenia:

— Doprawdy?

— Domyślasz się zapewne aniołku, co było treścią naszej rozmowy?

— Nie jestem jasnowidzącą! — odrzuciła Teresa dość szorstko i niegrzecznie. Poczem głośno ziewnąwszy, wzruszyła ramionami.

— Każda z nas staje się jasnowidzącą, skoro kocha! — cierpko odrzekła hrabina. Podziwiała wprawdzie wychowanie staranne w teorji, w praktyce atoli krew zimna i wielkopańska nonszalancja w tak młodej osobie, srodze ją niecierpliwiły. — Czy i tobie o czemś... wspominał?

— Tak jest!

— I jakąż otrzymał odpowiedź?

— Jakąż ty ciociu, byłabyś mi radę dała w tym wypadku?

Hrabina ciężko westchnęła. Obracała w ręku kutas od rannego szlafroczka, który zarzuciła na prędce, uwolniwszy się ze sztywnej sukni aksamitnej, pociągnęła za uszko Muszkę, w kłębek na jej kolanach zwiniętą, co wywołało ze strony faworytki jęk bolesny i gniewliwe warknięcie, i wreszcie Bogu i wszystkim świętym duszę polecając, przemówiła zwolna i wahająco:

— Moje drogie dziecię, setki razy o radę mnię pytano, a mimo tego każdy z osobna tylko wtedy poszedł za mojem zdaniem, jeśli zgodne było z jego własnem widzimisiem. W takim wypadku może kobietę najlepiej natchnąć jej własne serce. Zanim atoli objawię ci moje pod tym względem zapatrywanie, chciałabym wiedzieć, coś Stasiowi odpowiedziała. Czyś z nim po słowie?

— Cóż znowu! Dostał odemnie kosza po prostu!

Zbladła jak ściana, te słowa wymawiając, a pierś gwałtownie zafalowała, jakby tchu jej zbrakło.

Z księciem więc nic nie zerwane, ciotka jednak dobrze nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać?

— Ale przecie Stasia pokochałaś? — szepnęła nieśmiało.

— Może!... — księżniczka usta wydęła. — Z takiem jednak dziecińnstwem, trzeba się umieć uporać! Byłoby istnem szaleństwem z mojej strony, zaślubiać szlachcica wioskowego. W naszej sferze, nie wolno bawić się w czułe sielanki, karmić romansowemi uczuciami. Powiedziałam to panu Stanisławowi bez ogródki.

— Powiedziałaś mu coś podobnego? Byłaś na tyle niedelikatną, a nawet okrutną?! No, w takim razie nie wiele traci na twojej odmowie! — wybuchnęła hrabina z oburzeniem, które jasno dowodziło, iż znowu u niej to serce niepoczciwe stłumiło głos rozsądku, zada-

jąc zimnemu rozumowi cios śmiertelny. — To się nie godzi, obejść się w ten sposób z człowiekiem zacnym i tak szczerze do ciebie przywiązanym! Każda kobieta z sercem, oszczędza ile możności drażliwość mężczyzny pod tym względem i jeżeli ma bodaj odrobinę serca i uczuć wznioślejszych, stara mu się gorzką pigułkę ocukrować, a tyś w dodatku była Stasiem zajętą i to potrafiłaś!...

— Powinnam więc była, według cioci rady: „tak“ powiedzieć?

— Niezawodnie, jeżeli tylko serce za nim przemawiało! Wiem z własnego doświadczenia, jak to źle i niebezpiecznie, jeżeli starsi każą milczeć sercu młodemu i nie pozwolą wybierać nam samym, tylko z góry męża upatrzonego narzucają.

— Ja zaś znajduję właśnie, iż nic głupszego pod słońcem, jak zachcianki romantyczne, które prysną wkrótce, niby bańka mydlana, świecąca złudnie tęczy barwami, a gorycz i kwasy małżeństwa niestosownego, na całe resztę życia zostaną! Straszniem zmęczona i spiąca... Dobranoc!

Wzięła kandelabr płonący na kominie i wyszła z ciotki sypjalni, dążąc do swojego pokoju, z głową tak dumnie podniesioną, jakby już na niej świeciła mitra podwójna, jakby szła do ołtarza z księciem Arturem.

— Powinszować mamie! — zawołał Wacław z gorzkim uśmiechem, wchodząc nazajutrz zrana na śniadanie do sali jadalnej. — Zwycięztwo na całej linji, pole z nieprzyjaciela oczyszczone! Biedny Staś, z rozpaczą w sercu, wyjechał dodnia na wieś, a z tamtąd myśli udać się na rok lub dwa za granicę, takeście mu panie pobyt w kraju zbrzydziły!

— Cicho Waciu! Cicho! Przysięgam ci, że nie moja w tem wina! — pani Laura łzami wybuchnęła. — Żal mi serdecznie mojego drogiego chrześniaka!

— Kiedyż będę mógł złożyć najpowinniejsze gratulacje u stóp pięknej kuzyneczki, a przyszłej księżny Arturowej?

Kiedy? kiedy?! pytali się wszyscy, ciotka zaś mało sto razy przez dzień powtórzyła sobie w duchu to pytanie! Balowy sezon minął, kończyła się nawet epoka rautów, *jours fixes* i wieczorów muzykalnych, książe asystował jeszcze po trochę, ale już nie tak gorliwie, jak wtedy, gdy Stasia widział nieodstępnego od boku pięknej Teresy, z oświadczeniem atoli zwlekał i zwlekał nieznośnie! Wreszcie dnia jednego w południe, gdy hrabina wróciła ze synem z oględzin gospodarskich, kamerdyner zameldował w przedpokoju, iż właśnie przybył książe Artur, i jest w salonie.

— Chodź Waciu do mego pokoju! — pociągnęła syna za sobą hrabina, błogą nadzieją rozpromieniona. — Nie trzeba im przeszkadzać... rozumiesz mnie przecie!

Syn śmiejąc się spazmatycznie upadł na fotel najbliższy, aż mu zawtórowała wyciem przeraźliwym Muszka, ze snu nagle zbudzona, i papuga krzyczyć zaczęła, śmiechem zgorszona najwidoczniej.

— Rozumiem! rozumiem! Książątko nareszcie dało się złowić w sidełka, i obecnie poci się biedaczysko nad siarczystą deklaracją! Ha! ha! ha! winszuję, ale nie zazdroszczę!

— Fe! Jak można drwić z sprawy tak ważnej! Widzisz, że ja drżę cała ze wzruszenia, a ty sobie stroisz żarciki! Mógłbyś przecie współczuć z twoją biedną, skłopotaną matką! Ale cicho!... cicho!... słyszę księcia odchodzącego!... Drżę cała... Ach, tak się czuję szczęśliwą! Pomyśl tylko, jaka to będzie wielka i radośna dla twojej ciotki nowina!

Nie czekając na syna odpowiedź, krokiem elastycznym wbiegła do salonu, w którym Teresa bezmyślnie, z głową pochyloną, kartki w jakimś albumie przekładała. Odpowiedziała na ciotki serdeczne powitanie mniej więcej z tem samem ożywieniem, co *Diana* z marmuru, pomiędzy kwiatami na wysokim piedestalu umieszczona, gdyby się do niej była zwróciła z mową hrabina.

— No, cóż aniołku? Co ci książe powiedział?

— Że jutro wyjeżdża do bieguna północnego polować na psy morskie i białe niedźwiedzie.

— Na białe niedźwiedzie?! — krzyknęła hrabina, łapiąc się za głowę gestem rozpaczliwym.

— Zostawił dla cioci i kuzynka dwa bilety wizytowe z pożegnaniem.

— I więcej nic, nic?!

Hrabina oniemiała. Kość była rzucona!... bohater salonów wymykał się jej, zrywając sieć intrygi zręcznie usnutej! Teresa wróci do domu, nie zrobiwszy świetnej partji! Zgubiona na wieki w siostry dobrej opinji! zawstydzona i upokorzona wobec całego towarzystwa!

— Hrabina Laura rzuci na mnie wielką klątwę! i wpisze raz na zawsze w „Czarną Księgę!“ — mówił ironicznie książe Artur do złotej młodzieży, żegnającej go w hotelu saskim lukullusową kolacyjką. — Trudna rada! Mało brakowało, a byłbym na serjo zaszłapał... ale czyż podobna zakochać się w *marjonetce*, choćby była tak piękną jak sama *Venus* afrodyjska. Księżniczka Teresa jest prześliczną, ale zimną jak posąg marmurowy! Wie się naprzód kiedy skłoni się z gracją baletniczki, kiedy uśmiechnie się sztucznie, jakby każdy ruch i każdy uśmiech studjowała przed źwierciadłem, kiedy ten lub ów frazes wygłosi. Dostać żonę z taką twarzą kamienną, to można z nudów oszaleć!

(Ciąg dalszy nastąpi)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

— Jaka ja szczęśliwa! — powtórzyła z zapałem.

— Czy doprawdy tak ci się Stèveville podoba? — spytała Marietta, nic a nic nie rozumiejąc. — Chwała Bogu, dziecino moja! Ja bo znajduję to całe zamczysko bardzo czarnem i ponurem. Bodaj to nasz pałac w Alpino! Tam kamienie nawet takie białe, wesołe, jakby się śmiały do człowieka!

— Tobie tu smutno nianiu? Ha! widać, że inaczej patrzy się sercem, niż oczami!

Skoro się ubrała, porwała jeden z ciężkich, srebrnych kandelabrów, aby zwidzieć cały swój apartament. Sypjalnia miała obicie z kosztownego gobelinu, przedstawiającego sceny z mitologji, salonik był wytwornie umeblowany, duże okno weneckie na balkon wychodziło, nad drzwiami były herby lordów Stève, w płaskorzeźbie wyzłacane i emaljowane, obok pokój niewielki z doborową biblioteczką, i gabinecik w jednej z wież, z oknami podłużnemi, oprawnemi w ramki z ołowiu.

Księżna przyszła sama zaprosić Erminję na kolację. W sali jadalnej zastały już hrabiego i Willjama. Stół jaśniał pyszną zastawą, uginał się pod sreber ciężarem, bukiety z kwiatów najrzadszych rozlewały woń odurzającą. Sala była à giorno oświetlona, liczna służba uwijała się cicho i zręcznie, czekając na pani lub pana skinienie.

Po kolacji, mimo zmęczenia po dość długiej podróży, poszli wszyscy do pysznego salonu recepcjonalnego i używali z lubością swobody i pogadanki poufałej w kółku najściślejszem, po owych wieczorach gwarliwych wśród tłumu obcych i obojętnych w Villiers-Castle. Jakże słodkiemi wydały się te chwili dla biednej sieroty, w domu, gdzie ją niemal jak dziecko własne goszczono i przyjmowano.

Nazajutrz rano, mimo iż w nocy zaczął deszcz padać, i teraz cały horyzont był szaremi chmurami powleczony, Erminja obudziwszy się miała w duszy słońca blask promienisty! Wychyliła się przez okno, aby po dniu przypatrzeć się parkowi i całej okolicy. W dali czerniały bory sosnowe i świerkowe, łąki były również ciemno-zielone, a po nich rozsiały się dęby majestatyczne, szumiąc głucho i tajemniczo. Nie przypominało to w niczem cudnego krajobrazu neapolitańskiego, z nieba lazurem, z gajami całemi cytryn i pomarańcz złocistych, z wiotkiemi festonami winnej macicy, z owym parkiem w Alpino, pełnym słońca, woni i szmeru roskosznego kaskad i fontan perlistych, w baseny marmurowe spadających. Mimo jednak powietrza mglistego, chmur szarych, i dzikiej, posępniej okolicy, myśli Erminji, leciały w przestrzeń wesoło, niesione na złotych skrzydełkach marzeń o szczęściu. Zamieszka tu może kiedyś we dwoje z ukochanym, tymczasem zaś stąpa po Ziemi obiecanej, a rywalka, którą sobie stworzyła jej bujna fantazja, wcale już nie istnieje!

Śniadanie odbyło się nader wesoło. Willjam i hr. de Bocé chcieli przed obiadem pokazać Erminji cały zamek, z jego długiemi korytarzami, mnóstwem schodów i schodków dyskretnie w murze ukrytych, z salami rycerskiemi, pełnemi broni najrozmaitszej, i całych postaci w żelazo zakutych, z meblami starożytnemi, w stylu gotyckiem, wyrzynanemi misternie z mahoniu lub hebanu, z obiciami z ciężkiego adamaszku, z armaturą bogatą na[illegible] drzwiami każdemi. Skończyli na galerji obrazów i portretów familijnych. Hrabia znużony upadł na fotel najbliższy, zostawiając Willjamowi miły obowiązek, tłumaczenia lady Stève, co który obraz przedstawia.

Używali dni następnych, skoro pogoda ustaliła się na nowo, do wycieczek bliższych i dalszych, to wszyscy razem w powozie lub pieszo, to Erminja konno, li w towarzystwie księcia Whitefield.

Zrazu wystarczały Erminji i unosiły w siódme niebo te słodkie sam na sam, podczas których gawędzili oboje swobodnie, wymieniając myśli, uczucia, poglądy na świat i ludzi, w czem zgadzali się najczęściej, jak gdyby razem wychowali się i wyrośli. Dusza młoda atoli, nie tak łatwo się zadowalnia, pragnie czegoś więcej, niż spokojnych uciech, których przyjaźń udziela. I Erminja też tęsknić zaczynała, za owemi godzinami niezapomnianemi, kiedy tę samą twarz, dziś tak zimną i bez wyrazu, widziała promieniejącą zapałem, kiedy te oczy, łzami lśniące, wpatrywały się w *L'Ombrę* z zachwytem i z szałem namiętnym.

— O! gdybym tak mogła mu zaspiewać! — wzdychała tajemnie — jakżeby zmieniła się ta fizjonomja, niby pod dotknięciem rószczki czarodziejskiej! Dlaczegoż taję przed nim mój talent, kiedy ani tytuł, ani piękność przez innych wielbiona, nic mu nie zastąpi głosu mojego, który go czarował i zjednał mi płomienną miłość jego!

Niepotrzebnie jednak martwiła się lady Stève. Widocznem było, iż z dnia na dzień więcej się podoba Willjamowi. Rysy jego nigdy już teraz nie wyrażały tej nudy śmiertelnej, jaka była go opanowała po powrocie z boskiej, słonecznej Italji. Słuchał godzinami gry na fortepianie Erminji, na chwilę jej [illegible] opuszczał, rzadko *L'Ombrę* wspominał, i tak obojętn[illegible] iż Erminja zazdrośna zrazu o to swoje drugie „[illegible] była teraz niemal gniewną, iż tak o niem zapomina[illegible] dawało jej się, iż Willjam depce nogami bukiety [illegible]*brze* rzucane, że niszczy ów bilet, który ona tyle set razy odczytała, że zapiera się niejako całej błogiej przeszłości. Sama siebie, po bliższem zastanowieniu, nazwała szaloną fantastką, która samochcąc troski stwarza i zgryzoty mnoży. Dla kogoż, jeżeli nie dla lady Stève, książe o jej cieniu zapominał?

Po licznych odwidzinach w sąsiedztwie i rozesłaniu zaprosin oficjalnych, zaczęto zjeżdżać się tłumnie do Stèveville. Książe i Erminja pomagali dzielnie gospodyni domu w robieniu honorów. Piękność Erminji, jej swoboda i łatwość w stosunkach ze wszystkimi, dodawały wiele uroku przyjęciu, iście królewskiemu w Stèveville. Hr. de Bocè był coraz więcej Erminją zachwycony. I lady Stève płaciła starcowi wzajemnością. Chętnie się do niego przysiadała, rozmawiając z całą swobodą i szczerością. Ma się rozumieć, iż często o Willjamie wspominali. Hrabia oceniał go bez uprzedzenia, nie przesądzając stron dodatnich, nie tając atoli i wad, które posiadał.

— Obłaskawiliśmy po trochę dzikiego człowieka— żartował razu pewnego. — Nie myśli jakoś w świat szeroki wędrować. Zdaje mi się nawet, iż nimfa jasnowłosa wyrugowała na zawsze z jego pamięci czarnowłosę, niebezpieczną czarodziejkę, i że woli teraz fortepian, niż trele śpiewaczki.

— Ach! Czyż godzi się martwy instrument z głosem ludzkim porównywać?! — Erminja zaprotestowała. — Śpiew, to część ducha nieśmiertelnego, to owa iskra boskości, tchnięta w pierś ludzką przez Stwórzyciela! Jakież szczęście, módz to, co się czuje, wyśpiewać!

Biedaczka ciężko westchnęła. Czy nie zamarł jej głos w piersiach na wieki?!

W tej chwili kilka miss posunęło się ku fortepianowi, a Willjam znalazł się przy niej i zepnąłs do ucha:

— Kuzynko! Uważ, jaka powódź fałszów straszliwych nam zagraża! Ratujmy póki czas uszy nasze, wymykając się do ogrodu niepostrzeżenie. Czy i ty z nami hrabio kochany?

Usłuchali dobrej rady. Noc była cicha, przecudna. Księżyc w pełni płynął majestatycznie po nieba czystym lazurze, mgła lekka, z łąk się podnosząc, czepiała się niższych krzewów, a kołysana wietrzykiem, wyglądała jak welon z koronek przejrzystych, którym gdzieniegdzie natura wdzięki swoje osłoniła. Gwiazdy pogasły, zawstydzone blaskiem księżycowym, jedna Wenus lśniła na zachodzie, niby wielki brylant najczystszej wody. Drzewa niebotyczne rzucały długie cienie przed siebie, podobne w swojej nieruchomości do uspionych olbrzymów. Światło drżące i niepewne księżyca, zmieniało [illegible]ury i łudziło oko co do perspektywy. Taka c[illegible]na, dziwnie na nerwy oddziaływuje. Wszys[illegible]ki dzienne zdają się w nas usypiać, du[illegible]we śnie, niby na jawie, czujemy się niemal uw[illegible] od wszelkich więzów cielesnych, od wszelkich kłamstw i przesądów świata tego; dusza nasza, gotowa by w takiej chwili wyspowiadać myśli najtajniejsze, bez rumieńca wstydu na swem czole. Erminja usiadłszy obok Willjama na ławeczce, doświadczała tej błogości nadziemskiej, nie starając się wcale o analizowanie jej szczegółowe. Gdyby ją był w tej chwili Willjam otoczył ramieniem, złożyłaby główkę z całem zaufaniem na jego piersiach, i wyznałaby mu miłość swoją płomienistą, tak niewinnie, tak bezwiednie, jak kwiaty leją w nocy woń upajającą z kielichów. Przejęta szczęściem bez miary, iż jest przy nim, iż Bóg na nich patrzy okiem miłosiernem, a obydwaj dziadziowie z nieba ich miłości błogosławią... zapomniała o reszcie świata. Zdawało jej się, iż na ziemi jest tylko o n i o n a, jak byli Adam i Ewa w raju, przed grzechem.... Nagle drgnęła, zbudzona z marzeń ułudnych głosem Willjama, który z cicha wiersze deklamował, zapatrzony w gwiazdę promienistą.... Nie dla niej atoli były przeznaczone słowa miłości... Było to *recitativo* Irmy w *Cavatinie* aktu drugiego.

— *„Astro d'amor, ch'in Ciel mi segui, nel tuo viaggio, Versa un pui di coraggio, su lei, che m'inraghi.“*

— Co to takiego? — spytał hr. Bocé.

— Nic, nic! — Willjam przesunął ręką po czole.— Patrząc na Wenus, przypomniałem sobie śpiew *l'Ombry*, w partji Irmy. Jakże była piękna, jak natchniona! niby wniebowzięta!... Widzę ją w tej chwili, z ramionami wyciągniętemi, z okiem łzawem, śpiewającą te słowa z rzewnością niezrównaną... Oh! możnaby oddać skarby całego świata, za jeden jej uśmiech miłośny!...

— A to mi dopiero entuzjazm! — uśmiechnął się ironicznie hrabia i nieznacznie ścisnął ramionami. — Rozumiem taki zapał wśród sztuki, przy blasku kinkiet, które tyle uroku dodają... ale *post festum* wydaje mi się niepotrzebną przesadą, podobna admiracja!... Ręczę, że i owa syrena niebezpieczna straciłaby wiele z czaru, którym odurza, gdyby tak nagle mogła zbliska, ot tu, między nami się pojawić. Tylko, że te damy nadto szanują słowicze gardziołka, aby narażać się na rosę wieczorną i chłód nocny... talent, to ich rószczka czarodziejska. Z jej pomocą gromadzą pieniążki, i łowią na wędkę serca... kochanków łatwowiernych!...

— Nie *L'Ombra*! nie! — zawołała z oburzeniem lady Stève. — *L'Ombra* nie miała kochanków!

— Tem gorzej dla niej! — machnął ręką lekceważąco stary sceptyk. — Nikt w to nie wierzy, a choćby uwierzył, nie poczytałby jej pewno tego za zasługę!

— Ależ to osoba bogata i z dobrego domu! — wtrąciła Erminja.

— W takim razie jest niespełna zmysłów! — wybuchnął hrabia — kompletna warjatka! Mając w ręku majątek, i nosząc uczciwe nazwisko, wstępywać na deski teatralne! To więcej niż szaleństwo, to bezwstyd! Narażać się na spojrzenia zuchwałe libertynów, na podziw impertynencki tłumu bezmyślnego, na deklaracje i uściski pierwszego lepszego Histrjona! Udawać za pieniądze łzy i śmiechy, okazywać publicznie, jak namiętnie kochać potrafi w danym razie, a to wszystko pod kłamliwym płaszczykiem uwielbienia dla sztuki! Nie, kochana lady, jeżeli prawdą jest, co utrzymujesz o twojej protegowanej, warta, żeby ją po prostu, nawet

bez rewizji lekarskiej, umieścić w domu warjatów!

Na ten wyrok, wypowiedziany tonem pogardliwym, Erminja zarumieniła się po białka ócz i odrzuciła z najwyższem oburzeniem:

— Mówisz hrabio ze stanowiska zblazowanego arystokraty francuzkiego! My Włosi inaczej sztukę pojmujemy. Talent i genjusz, zastępuje u nas tarcze herbowe, a nawet częstokroć wyżej go stawiamy, niż ślepy traf urodzenia... U was patrzą się na kobietę, zamiast podziwiać artystkę; u nas podziw dla talentu prawdziwego, idzie w parze z szacunkiem dla sztuki kapłanek. U nas też młoda dziewica, nie jest bynajmniej czci pozbawioną dla tego, że na scenie występuje; wszyscy zbliżają się do niej niemal z uszanowaniem, nasze damy najwyżej urodzone, przyjmują u siebie artystki dramatyczne. i nawzajem u nich bywają. Otóż ja, wychowana we Włoszech, umiem sobie inaczej zapał *l'Ombry* wytłumaczyć, pojmuję, ile znajdywała przyjemności, wypowiadając w tonach wielkie myśli mistrzów nieśmiertelnych. Czyż to nie jest szczęściem prawdziwem, dzielić się z salą całą uczuciem podniosłem, które nam pierś rozpiera? Choćby jedna dusza pojęła ją wśród tłumu i uczucia artystki podzieliła, jest to już dla niej nagrodą dostateczną za trud poniesiony, bo wie, że w takiej duszy, pamięć jej porywów szlachetnych, nie tak rychło przeminie!

To wystąpienie namiętne zdziwiło hrabiego niesłychanie. Lady Stève broniąca tak zawzięcie cnoty śpiewaczki teatralnej! Odciął się też tonem rozdrażnionym:

— No, no! tylkoż nie idźmy po-za kulisy, szukać czystych Westalek! Pozwól sobie powiedzieć kochana lady, żeś jeszcze dotąd wielkiem dzieckiem!

— A ja znajduję — krzyknął Willjam, całując z zapałem obie ręce Erminji — że milady jest prawdziwie wielkiem sercem i istotą wyższą, genjalną, a przytem dzielną i odważną!

Ten całus płomienisty, wielce się Erminji nie podobał! Tyczył on się *l'Ombry* orędowniczki. Znowu ten cień nieszczęsny wciskał się pomiędzy nią a Willjama!

Nazajutrz wchodząc zrana do biblioteki, zastała księcia tak zajętego czytaniem dzienników, świeżo z poczty odebranych, iż nawet nie zauważył cichego jej kroków szelestu.

— Co cię tak zajęło kuzynku? — spytała z uśmiechem. — Czy jest jaka zmiana w polityce?

— O! nic ważnego! — odrzucił roztargniony.

Spojrzała na dziennik przez jego ramię, i drgnęła nerwowo. Wielkiemi literami anonsowano najnowszą operę maetra V. w kronice teatralnej. Partję Irmy spiewała w Londynie primadonna paryska.

— Kto spiewa partję Irmy? — spytała od niechcenia, jakby nic przed chwilą nie przeczytała.

— Tego właśnie szukałem...

— A nie ciekawyś kuzynku posłuchać tego arcydzieła?

— Co nie, to nie!... Ach! gdyby tak *L'Ombra* mogła zaspiewać!...

— Już ci raz powiedziałam — odrzuciła Erminja tonem suchym — że *L'Ombra* więcej spiewać nie będzie!... Nie mógłbyś zresztą kuzynku gości twoich opuścić...

— Wiem! wiem! że *L'Ombra* na zawsze miała się wyrzec sceny... ale mógł ktoś wpłynąć na nią, namówić, żeby jeszcze choć raz dała się słyszeć... Nie mogę uwierzyć, żeby umilkł na wieki ten słowiczek cudowny!... Tyś mnie powinna pojąć i wybaczyć kuzyneczko. Czyż jej sama nie podziwiasz?! Jakżeś jej broniła wczoraj wieczór! O! byłaś wtedy istotnie natchnioną!

A więc tyle tylko zapamiętał z owego wieczoru, który wzbudził w sercu Erminji tyle uczuć słodkich, tyle porywów namiętnych? Co za męka walczyć wiecznie z tem drugiem „Ja“ nieuchwytnem! Im więcej zwątpienie ją opanowywało, tem bardziej lękała się wyznania całej prawdy. Czyż nie byłby w prawie Willjam wymówić jej, iż tak długo przed nim kłamała?

Kłamstwo zaś w jej własnem przekonaniu było tak wielką nikczemnością, iż musiałoby zostawić na jej czole piętno hańby niczem nie starte!

Dzień przeszedł dosyć smutno. Trzeba było jednak bawić gości w Stèveville zgromadzonych. Lady Stéve przyjmowała uprzejmie propozycje wszelkich rozrywek, nawet projekt teatru amatorskiego, który licznemi głosami poparto. Przerzucono kilkanaście sztuczek; hr. de Bocé został jednogłośnie obrany reżyserem, i zaraz nazajutrz zaczęły się próby czytane sztuk wybranych. Spieszono się projekt wykonać, aby znowu jak w Villiers-Castle, nadzieja miłej zabawy nie spełzła na niczem. I w Stèveville, jak we wszystkich niemal zamkach i pałacach magnatów, nie brakowało pięknie urządzonej sali teatralnej. Zwykle w takich wypadkach nie obejdzie się bez sprzeczek żywych, niechęci do tej lub owej roli, dąsów z powodu podrażnionej miłości własnej, zazdrości i rywalizacji. Hr. de Bocé umiał jednak lawirować po tem morzu burzliwem, i wyminąwszy szczęśliwie nie jedną skałę podwodną, zawinął z tryumfem do portu. Trzeba było istotnie jego zręczności i przebiegłości dyplomatycznej, aby jednych ująć gładkiem pochlebstwem, drugich uspokoić w zbytniej nieśmiałości i trwożliwości, trzecim wyperswadować delikatnie zbytnie pretensje, jednem słowem, opanować wszystkich i do swojego „widzimisia“ nakłonić.

Zaproszenie specjalne na ten wieczór rozesłano po okolicy, ról się wyuczono doskonale, kostiumy zrobiono według wzorów z pierwszego teatru [illegible]yńskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki